Kapuściński był jak znikający punkt...

Książka Marka Kusiby o Ryszardzie Kapuścińskim



Marek Kusiba (z lewej) z Ryszardem Kapuścińskim przed domem rodziny Connable (w roku 1920 mieszkal tam Ernest Hemingway), 2 grudnia 1996 r. podczas wizyty reportera w Toronto z okazji otrzymania Nagrody im. Turzanskich), fot. D. Kuprel.

Roman Sabo-Walsh

Kim jest reporter? Człowiekiem słuchu i człowiekiem spotkań.

W 2018 r. ukazała się książka o spotkaniach i słuchu dwóch reporterów – Mistrza Kapuścińskiego i czeladnika Kusiby[1]. Zapytałem autora o ten tytuł. Wyjaśnił: – Z daleka dlatego, że pisałem tę książkę z oddalenia, z Kanady, i z perspektywy północnoamerykańskiej oraz obecności Kapuścińskiego na tym kontynencie, obecności literackiej w przekładach i wywiadach, tudzież spotkaniach z czytelnikami (bywał często w Nowym Jorku, Toronto, czy w Kolumbii Brytyjskiej, gdzie mieszkają jego siostra i córka); a z bliska dlatego, że znałem go osobiście, przez wiele lat się przyjaźniliśmy i często rozmawialiśmy, a rozmowy notowałem, z tych notatek i wspomnień powstała ta książka.

„Pisałem ją długo, praktycznie przez cały okres znajomości z Ryszardem" – wyznaje Kusiba we Wstępie. Czego uczeń nauczył się od mistrza? Konkretu frazy, szacunku dla czytelnika, któremu należy się wywód klarowny oraz duża doza zaufania, gdyż będąc inteligentnym, pojmie. Jak również pięknej sztuki uhonorowania hierarchii – w tej książce od początku do końca wiadomo, komu należny jest szacunek i kto oraz dlaczego ten szacunek okazuje.

Otwarcie „raptularza" spotkań autora z twórczością Kapuścińskiego jest reportażem – sprawozdaniem z lektury

tekstów opowiadających przy pomocy doniesień z dalekiej Afryki o rzeczywistości ustrojowej Polski z lat sześćdziesiątych. Kusiba przypomina, że kontekstowe pisanie było cechą szczególną Ryszarda Kapuścińskiego na długo przed *Cesarzem*, sugerując zapewne, że przez wszystkie 50 lat swoich peregrynacji po świecie Kapuściński trzymał się zasady objaśniania Polski przez świat i poznawania świata przez szczególny pryzmat swojej polskiej wrażliwości. A przy okazji powstaje tekst o peerelowskich latach przeżytych przez ucznia, studenta, młodego reportera, zakotwiczony przez Kusibę w konkretnym języku, z odtworzoną specyfiką fraz, pojęć, zdarzeń i przemian. Otwierający klamrę opowieści o demoralizujących praktykach studenckich lat sześćdziesiątych, domykający ją fragmentami reportażu Kapuścińskiego z Nowej Huty – czternaście lat po Ważyku, Kapuścińskim, sytuacja robotnika jest nadal taka sama – praca nie ma sensu, demoralizuje, jest harówą.

Kim jest Reporter?

> Piszę tę książkę, bo chcę się podzielić z Czytelnikiem spotkaniami i rozmowami z Ryszardem Kapuścińskim. Ale muszę się do czegoś przyznać: ja nadal niewiele o nim wiem. Skrywał, zatajał, chronił swoje prywatne życie, nie dawał się poznać, nie zwierzał się nigdy, choć są w naszych spotkaniach wymowne momenty. Był zdyscyplinowanym

> wykonawcą narzuconych sobie nakazów, zakonnikiem własnej ostrej reguły i klauzury[2].

Kapuściński nigdy nie dał się nikomu namówić na wywiad-rzekę. Jednocześnie sugerował młodszemu reporterowi, że właśnie napisany przez niego tekst będzie świetnym początkiem książki o… Kapuścińskim. I napominał – tylko jeszcze nie teraz, jeszcze za wcześnie. Pojętny uczeń, który przewertował i przemyślał wszystko, co o Mistrzu napisano, milczy na temat tych, którzy myśląc, że wiedzą bardzo dużo, albo i wszystko o reporterze, układali sążniste teksty, włącznie z pseudo-biografią.

Kim jest uczeń? Reporterem o karierze, piszę to bez przesady, przerwanej w tym słynnym decydującym momencie fotografika Henri Cartier-Bresson'a, przez urzędników ubeckiego PRL-u. „Rozmowy ostrzegawcze" służby bezpieczeństwa w stanie wojennym miały taki, mniej więcej, przebieg: *Pan wie, panie redaktorze, że my wiemy, gdzie jest pańska żona, która właśnie ma zamiar przejść na drugą stronę ulicy, pan wie, tam gdzie zawsze taki wściekły ruch, i gdzie samochód mógłby się nie zatrzymać przed przejściem dla pieszych, którym żona pana redaktora właśnie przechodzi na drugą stronę ulicy pchając przed sobą wózek z dzieckiem…*

Z owocnego trudu lektury tekstów ucznia aż po rok 1984,

przełomowy rok emigracji do Kanady, wynika co następuje: Kusiba zaczynał swoje reporterskie życie jak wszyscy – od dobrych chęci, patosu przedstawień, słów czasem zbyt wielkich, moralizujących konstatacji. Kończył, będąc reporterem białostockich „Kontrastów" i „Gazety Współczesnej", stylem prostym, nośnym, stawiającym fakt i sprawozdanie przed fanaberiami reportażysty. Byłby reporterem klarownym, inteligentnym, spostrzegawczym, uczciwym, trzeźwo przedkładającym fakty nad emocje, empatię nad obojętność. Ciekawym przedmiotu opisu, troskliwie układającym opis ze słów nośnych, zdań solidnych, wieści godnych uwagi i dokładnie sprawdzonych. Czyli reporterem, który po latach przerwy, uprawiania różnych poletek piórem – szczególnie felietonowego – wraca jako autor reportażu biograficznego i autoreportażu zarazem *Ryszard Kapuściński z daleka i z bliska*, którego bohaterem jest reporter, świat, i obopólne oddziaływanie.

Świat zmieniający się na naszych oczach. Do niepoznania? Czy do zrozumienia? Kusiba opisuje ciekawy wyjątek z tego nowego świata, torontońską bibliotekę uniwersytecką, wielką betonową bryłę w samym centrum miasta, znienawidzoną np. przez węgierskiego poetę na wygnaniu w Kanadzie, Georga Faludy. Bryła bryłą, nieadekwatna klimatyzacja, za to dostęp do wszystkich półek i godziny otwarcia od wczesnego rana do 24-tej. Kapuścińskiego uderzył

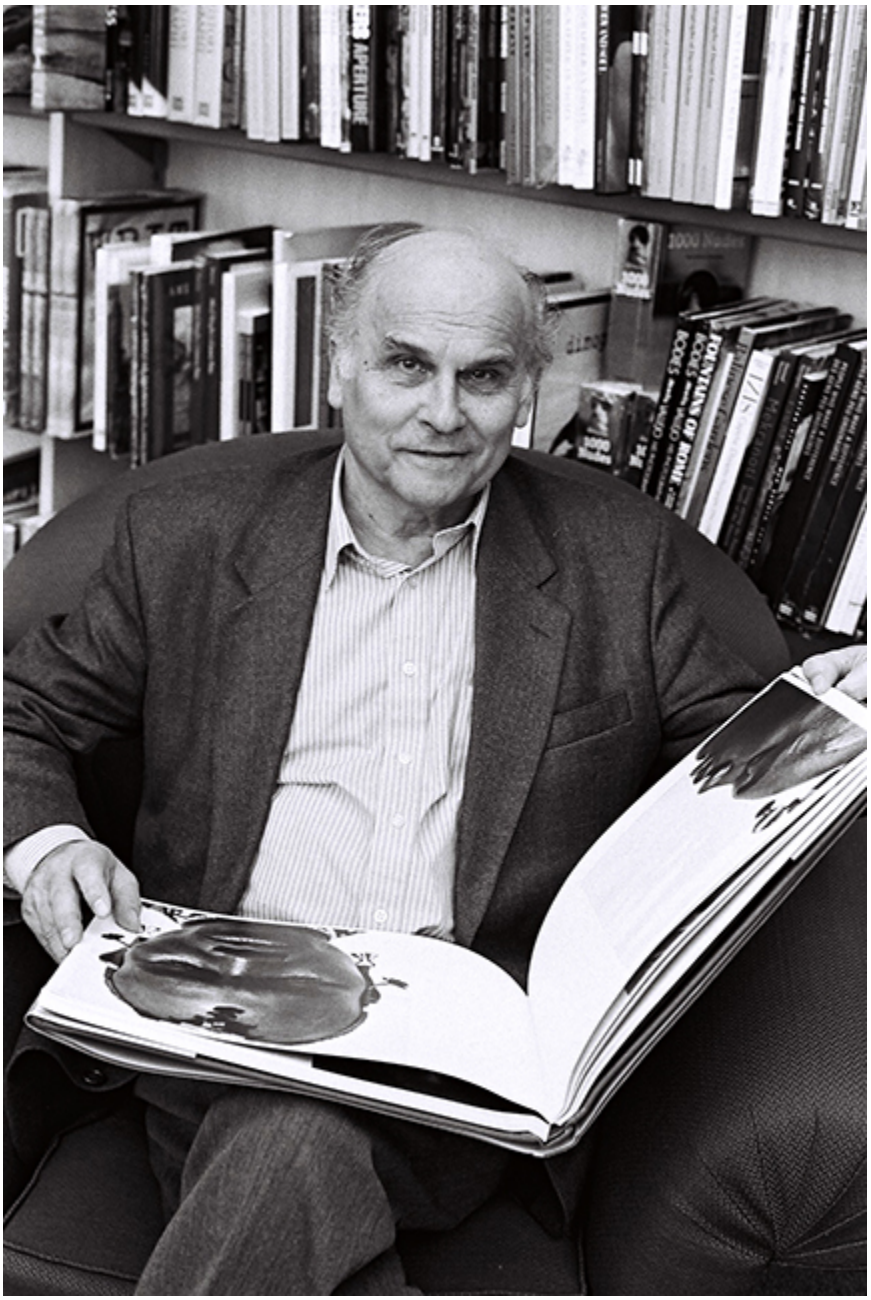
> Wygląd tłumu studenckiego. Toronto? Ależ jestem raczej w Pekinie czy w Seulu, w Tokio, w Singapurze, w Kuala Lumpur [...]. Azja opanowała wyższe uczelnie Nowego Świata (...)[3].

Zastanawiając się nad tą obserwacją, autora tych słów, pomieszkującego kątem w Toronto (między innymi w jeszcze nie wynajętych, czy właśnie zdanych mieszkaniach bloku zarządzanego przez ciecia – jak sam siebie nazywa – Kusibę w samym centrum miasta) i z konieczności narzuconych przez koczowniczy styl życia właściwie czyniącego z biblioteki dom, ten wielorasowy świat również fascynował, co nie znaczy, że nie zdawał sobie sprawy z potwornego braku proporcji. Gdy opuszczał mury biblioteki zamykanej na cztery spusty o północy, był promilową mniejszością w przejętym sprawą kształcenia obcojęzycznym tłumie, na który składały się setki pilnych studentów.

Obie te uwagi, jakże lapidarne, są zaledwie zapisem spostrzeżeń, nie oferując refleksji nad tym, do czego to opanowanie bibliotek przez azjatycki świat może doprowadzić. Wielkość Chin, nie tylko rozwijących się ekonomicznie z szybkością światła, ale coraz agresywniej zachowujących się w świecie bezustannych zmian, czy to w Azji czy w Afryce, sprawnie przejmujących spuściznę wpływów i uzależnień od wycofujących się ze świata Stanów

Zjednoczonych, oparta jest między innymi na wiedzy i ekspertyzie tych wszystkich absolwentów zachodnich uniwersytetów, tych oddanych sprawie wykształcenia inteligentnych, pracowitych, pokornie akceptujących zasady rozwojowe swoich państw prymusów.

Oczywiście, że podczas lektury książki Kusiby pojawia się myśl o zasadność jej powstania. Jaki sens pisania o nim we współczesnej Polsce. Różne odpowiedzi przychodzą na myśl, włącznie z tą o największym przegranym polskim reportażyście. Coż z tego, że hołubiony na świecie? Cóż z tego, że istnieje nagroda Jego imienia; że organizuje się konferencje, skoro Kapuściński nie zaistniał w polskiej szkole, na polskich uniwersytetach, a w powszechnej polskiej współczesnej świadomości zdaje się go po prostu nie być. Tak ważne dla Kapuścińskiego sprawy jak przejęcie się losami świata jako wspólnoty odpowiedzialności; otwarcie na Innego, między innymi przez próbę zrozumienia jego racji; pojęcie zgrozy czającej się za powszechnym pędem do dobrobytu za wszelką cenę, nie należą do języka współczesnej Polski. Za to dużo w nim braku poszanowania odmienności, zgody na neonazyfikację Europy; mantr o pasożytach i pierwotniakach, roznoszonych przez ludzi szukających schronienia przed okrutną wojną czy głodem, przypisanej im cholerze w Grecji, czy dezynterii w Wiedniu.



Ryszard Kapuściński, fot. Marek Kusiba.

Skrajnie prawicowi politycy lubią wysługiwać się ludzkim nieszczęściem. Widać to jak na dłoni w Polsce, ale widać to również w dzisiejszej Kanadzie. Mimo iż przeszło 40 tys. syryjskich uchodźców zostało bezkonfliktowo wchłoniętych przez 37- milionowe kanadyjskie społeczeństwo przed końcem roku 2017; mimo iż w 2017 otoczono opieką 20 000 uchodźców z USA

przechodzących nielegalnie na kanadyjską stronę granicy z obawy przed antyemigracyjną polityką Trumpa, w przedwyborczej kampanii kanadyjscy konserwatyści uderzają w tony tak bliskie sercu przywódców, premierów, liderów, prezydentów: brak kontroli, rozpasanie migracyjnych mas, zanikające poczucie bezpieczeństwa wśród przeciętnych Kanadyjczyków, nierozważne szafowanie publicznymi środkami, wydawanymi na obcych. Dwa najbliższe lata pokażą, czy tak bliska sercu Kapuścińskiego Kanada, kraj akceptacji, uśmiechu, zamieszkiwany przez wszystkie ludy świata, polityki życzliwej odmiennościom wielokulturowości, obroni się przed zżerającą już teraz Europę nieufnością do Innego, agresją wobec odmienności, powrotem w brunatną lub zaledwie izolatystyczną przeszłość.

A Kapuścińskiemu inaczej świat się układał w całość. Podczas wspólnej podróży z autorem po „ścianie wschodniej” 20 maja 1997 roku Kapuściński

> (…) wspomina wczesne wyprawy na Suwalszczyznę i Białostocczyznę, gdy pisał reportaże dla „Polityki” zamieszczone później w *„Buszu po polsku”* (1962). Chętnie się tu wyprawiał z Warszawy, rozumiał niuanse językowe chłopów mówiących „po prostemu”. Dobrze się czuł w wielojęzykowym i wieloreligijnym przekładańcu, bo tu i Rzym, i Bizancjum, katolicyzm i prawosławie, ale też islam;

> to ziemia kościołów, cerkwi, meczetów (dwóch czynnych, w Bohonikach i Kruszynianach) i synagog (nieczynnych). Tęsknił do Polski mozaikowej, niejednorodnej religijnie i etnicznie, jaką pamiętał z dzieciństwa w Pińsku, ojczyzny skleconej z Polaków, Białorusinów, Litwinów, Żydów, Tatarów, Niemców, Ukraińców, Łemków, Bojków, Wołochów, Karaimów, Cyganów i kogo tam jeszcze. Polskość kwitła zawsze najbujniej na podściółce wielorakich zapożyczeń kulturowych[4].

Tragiczność postawy Kapuścińskiego związana jest również z ignorowaniem głównego przesłania prawie tysiąca stron lapidarnych zapisów, prostej w zasadzie, a jakże trudnej do wprowadzenia w życie w świecie pęczniejącym od miliardów pazernych stworzeń: trzeba ten świat kochać, troszczyć się o niego, pielęgnować.

A przecież świat powoli wpada w łapy rwaczy, przekonanych że filozofia rwactwa, przywłaszczania sobie wszystkiego bez miary i chwili refleksji, jakby trumny miały kieszenie, jest nie tylko zbożna, ale i uzasadniona przez tezy prymitywnego społecznego darwinizmu.

Opowieść o Ryszardzie Kapuścińskim, który „był jak znikający punkt” pióra Marka Kusiby, to coś więcej niż raptularz czy

autoreportaż. Książka Kusiby to okazja to przemyślenia kilku niepokojących procesów przeobrażających nasz współczesny świat, tak bardzo – by odwołać się do Timothy Snydera – zaangażowany w odwrót od demokracji. Trudno jest w tym momencie przewidzieć, co zwycięży – troska czy rwactwo – władzy, przywilejów, kasy. Zbyt wielu rządców naszego współczesnego, globalnego, uzależnionego od siebie świata, przypomina Afrykańczyka Deda, budującego swój zamek z piasku, w opisie którego obecne są podstawowe zasady budowania nowego światowego ładu:

> Ded otrzepuje dłonie, jego zamek stoi już gotowy. Nic nie będzie zmieniał, tak jest najlepiej. Mocna i zwarta konstrukcja, bez poprawek i bez przebudowań, dzieło ręki, która się nie waha. Wysokie mury, kanciaste zabudowania, cień na dnie dziedzińca[5].

Na koniec uwaga merytoryczna.

Dywagacje Kusiby na temat czy był Kapuściński *gonzo*, czy nie był, sprawiają wrażenie desperackiej próby terminologicznego usankcjonowania dokonań polskiego reportera na planie światowego reportażu. Dopóki trzymamy się amerykańskiego, a przecież nie amerykańskiego określenia *gonzo*, za bardzo nie wiemy w czym rzecz. Mówią, że on *Gonzo* – a niech sobie będzie

Gonzo, byle nie Gonzalo. Jeżeli jednak pod puste znaczeniowo *gonzo*, podstawimy reportaż sowizdrzalski, reportaż łotrzykowski, *gonzo* pęknie jak mydlana bańka, i raz jeszcze zdamy sobie sprawę z odmienności dokonania Kapuścińskiego. O ileż bardziej – skoro już musimy wysługiwać się językami innych ludów – *sierioznego* w zamierzeniach, praktyce i dokonaniach. Zwłaszcza, że mamy już *gonzo* domowego chowu, *Przyjdzie Mordor i nas zje, czyli tajna historia Słowian* Ziemowita Szczerka, reportaż tyle obrazowy, co kontrowersyjny, mający za zasadę bezustanne obrażanie Ukraińców, co ma uzasadnić zasadność *pointy*: no i z kogo się śmiejecie, z samych siebie się śmiejecie.

Jeżeli słuszna jest lapidarna definicja samego Kapuścińskiego, że styl *gonzo* „zakłada uczestniczenie w zdarzeniach hedonistycznych, w skandalach itp. (…)”[6], którą zaczerpnął Kusiba z *Lapidarium*, pióro samo ciągnie po papierze myśl o hedoniźmie nędznych lepianek czy zakaraluszonych pokoików hotelowych, często opisywanych z ewidentną zgrozą przez autora *Hebanu*. A przecież te wszystkie ekstremalne osiągnięcia Kapuścińskiego biorą się z przedindustrialnej epoki, w której reporter uprawiał swój samotny zawód, wysyłany w świat bez środków do godziwego życia; nieubezpieczony, bez jakiegokolwiek zaplecza, stając się uczestnikiem ekstremalnego doświadczenia. Jeżeli dopisało mu szczęście, wracał i opowiadał, jeżeli nie, czytelnik czytał na klepsydrze: urodził się, zmarł

tragicznie, pogrążeni w żałobie. Jeżeli Hunter S. Thompson to *gonzo*, Kapuściński nim po prostu być nie może, tak jak buta uszytego na lewą nogę nie da się wygodnie nosić na prawej.

A teraz już najpoważniej na świecie – cudze chwalicie, swego nie znacie, sami nie wiecie co posiadacie. Nasza polska kultura piśmiennicza jest jak niezaorana, bujnie kwitnąca zielem rozmaitem wąska miedza. Jakże bogata w indywidualności. Poezja polska to kilka zaledwie nazwisk, ale przecież na lekturę, zachwyty, przeżycie piękna, i wyciągnięcie z tego wszystkiego wniosków, jednego życia nie starczy. Polska proza – podobnie. Polski reportaż – dzięki Ci panie Boże, że mamy tylko jednego takiego Kapuścińskiego – życia za mało, żeby a) przeczytać, b) pojąć, c) zachłysnąć się, d) wdrożyć.

Jest wśród nas, nad czym włos na czworo rozszczepiali bohaterowie omówionej książki, ogromnie dużo chamstwa. A tuż obok – wszystkie dziesięć ośmiotysięczników Himalajów poezji, prozy, reportażu. Tylko że Himalaje nie są dla wszystkich, wymagają hartu ducha, wieloletnich przygotowań i wyrzeczeń. A zapierające dech w płucach panoramy warte są każdej kropli potu.

Dr Roman Sabo-Walsh jest poetą, tłumaczem i eseistą, mieszkającym w Vancouver, BC.



Ryszard Kapuściński we wspomnieniu Marka Kusiby:

> Ryszard Kapuściński – poeta reportażu

---

[1] Marek Kusiba: *Ryszard Kapuściński z daleka i z bliska*, Znak, Kraków 2018, s. 352.

[2] Tamże, s. 12.

[3] Tamże, s. 109.

[4] Tamże, s. 161.

[5] Tamże, s. 35.

[6] Tamże, s. 289-291.